

AUTOR BESTSELLERA
SIEDEM ŚMIERCI EVELYN HARDCASTLE

STUART
TURTON



DEMON
I
MROCZNA
TOŃ

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE DEVIL AND THE DARK WATER

Copyright © Stuart Turton 2020
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2021

Polish translation copyright © Jacek Żuławnik 2021

Redakcja: Marta Grał

Ilustracje na okładce: Nadezhda Molquentin/Shutterstock, Croisy/Shutterstock,
iberica/Shutterstock, Adrian Niederhaeuser/Shutterstock

Ilustracja na wyklejce: Emily Faccini 2020

Projekt graficzny okładki oryginalnej: David Mann

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Kasia Mészka

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Prolog

W 1634 roku Holenderska Kompania Wschodnioindyjska, z placówkami rozszanymi w całej Azji i na Przylądku Dobrej Nadziei, była najbogatszym przedsięwiorstwem handlowym na świecie. Najbardziej dochodową spośród faktorii Kompanii była Batawia, z której na pokładzie galeonów zwanych indiamanami przywożono gałkę muszkatołową, pieprz i inne przyprawy oraz jedwab.

Pełne niebezpieczeństw rejsy trwały zwykle osiem miesięcy.

Oceany były w znacznej mierze nieskartografowane, posługiwano się prostymi, wręcz prymitywnymi instrumentami nawigacyjnymi. Istniał tylko jeden pewny szlak łączący Batawię z Amsterdamem. Statki, które z niego zbaczały, często przepadały bez wieści. Lecz nawet te trzymające się „kolein morskiego traktu” pozostawały na łasce chorób, sztormów i piratów.

Wielu spośród pasażerów statków wypływających z Batawii nigdy nie docierało do Amsterdamu.

*Lista znamienitych pasażerów oraz członków załogi statku
Saardam w drodze do Amsterdamu, sporządzona ręką szambelana
Corneliusa Vosa.*

Prominentni pasażerowie

Gubernator generalny Jan Haan, jego żona Sara Wessel oraz
córka Lia Jan

Szambelan Cornelius Vos

Komendant straży Jacobi Dreht

Creesjie Jens i jej synowie Marcus i Osbert Pieter

Wiczehrabina Dalvhain

Ważniejsi pasażerowie

Pastor Sander Kers i jego podopieczna Isabel

Porucznik Arent Hayes

Starsi oficerowie Saardama

Główny kupiec Reynier van Schooten

Kapitan Adrian Crauwels

Pierwszy oficer Isaack Larme

Ważniejsi członkowie załogi

Bosman Johannes Wyck

Konstabl Frederick van de Heuval

Więzień

Samuel Pippis

1

Arent Hayes zawył z bólu, gdy w jego szerokie plecy trafił kamień.

Kolejny śmignął koło ucha. Trzeci uderzył w kolano i Arent się potknął. Powstrzymywany przez miejskich strażników motłoch – bezlitosna, idąca w setki cizba z pianą na ustach, która pełnymi nikczemności czarnymi oczami rozglądała się już za kolejnymi pociskami – okrutnie szydził, wykrzykując obelgi.

– Kryj się, na litość boską! – zawołał błagalnie Sammy Pippa, przekrzykując wrzawę. Szedł chwiejnym krokiem po zakurzonej ziemi, jego kajdany lśniły w słońcu. – Im przecież chodzi o mnie.

Arent był znacznie roślejszy niż większość mężczyzn w Batawii, nie wyłączając Sammy'ego. Choć sam nie był więźniem, szedł tak, by jego potężne ciało znajdowało się pomiędzy dużo drobniejszym przyjacielem a tłumem, dzięki czemu skutecznie utrudniał atakującym celowanie.

Przed uwięzieniem Sammy'ego Pippa przeżywano ich Niedźwiedziem i Wróblem. Jeszcze nigdy oba te przydomki nie wydawały się tak adekwatne.

Pippa wyprowadzono z lochu i powiedziano do portu, gdzie już czekał statek mający przetransportować go do Amsterdamu. Eskorta składała się z czterech muszkietarów, którzy trzymali się na dystans, aby przypadkiem nie stać się celem tłumu.

– Płacisz mi za ochronę – przypomniał mu Arent, ściągając z

powiek zlepiony potem kurz i usiłując ocenić odległość, jaka dzieliła ich od bezpiecznego schronienia. – Będę to robił tak długo, jak zdołam.

Wejścia do portu na końcu głównego bulwaru Batawii strzegła wielka brama. Kiedy przez nią przejdą, znajdą się poza zasięgiem tłumu. Niestety, wlekli się w ogonie ślimaczo sunącego w upale długiego orszaku i wydawało się, że od chwili, w której w południe opuścili wilgotny loch, nawet na krok nie zbliżyli się do bramy.

Tuż przy nogach Arenta upadł z głuchym odgłosem spory kamień, obsypując mu buty wyschniętym błotem. Kolejny odbił się od oków Sammy'ego. Handlarze sprzedawali je prosto z worków i nieźle na tym zarabiali.

– Przekłeta Batawia! – warknął Arent. – Kanalie zrobią wszystko, by zapełnić sakiewkę.

W zwykły dzień ci sami ludzie kupowaliby u piekarzy, krawców, szewców, producentów lepszysza, wytapiaczy świec i wszystkich tych, którzy rozstawiali stragany wzdłuż bulwaru. Śmialiby się i narzekali na piekielny upał. Ale wystarczy zakuć człowieka w kajdany i wystawić go na mękę, by nawet w najpotulniejsze dusze wstąpił diabeł.

– Zależy im na mojej krwi – rzucił Sammy, usiłując odepchnąć przyjaciela. – Ratuj skórę, błagam cię.

Arent spojrział z góry na swego przerażonego druha, który bezskutecznie napierał dłońmi na jego pierś. Ciemne loki Sammy'ego kleiły się do czoła, wysokie kości policzkowe były fioletowe od razów, które spadły na niego za kratami, a z szeroko otwartych, zwykle pełnych kpiarskiego spojrzenia brązowych oczu biła rozpacz.

Nawet udręczony nic nie tracił ze swej urody.

Dła odmiany Arent był wystrzyżony i miał spłaszczony nos; wskutek niewprawnego posługiwania się batem kilka lat temu dorobił się długiej blizny na brodzie i szyi, a do tego w trakcie bójki ktoś odgryzł mu kawałek prawego ucha.

– W porcie będziemy bezpieczni. – Arent podniósł głos, by przekrzywić wiwaty, które zaczęto wznosić z przodu, tam gdzie na czele orszaku na grzbiecie białego ogiera jechał gubernator generalny

Jan Haan, wyprostowany, w kaftanie pod napierśnikiem i z objającym się o zbroję rapierem.

Przed trzynastoma laty w imieniu Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej nabył leżącą tu wioskę i niezwłocznie po podpisaniu umowy puścił ją z dymem, a popiół, w który się obróciła, wykorzystał do wykreślenia sieci ulic, kanałów i zabudowań mającego urosnąć na jej miejscu miasta.

Teraz, gdy Bawia cieszyła się sławą najbardziej dochodowej faktorii Kompanii, Haana wezwano do Amsterdamu, aby dołączył do Siedemnastu Panów, tajemniczej rady sprawującej kontrolę nad Kompanią.

Ogier biegł klusem, a tłum na bulwarze zalewał się łzami, wznosił gromkie okrzyki i wyciągał dłonie, usiłując dotknąć nóg gubernatora. Błogosławiono mu i rzucano kwiaty.

Haan wszystko to ignorował, trzymał fason i patrzył prosto przed siebie. Łysy, z haczykowatym nosem, kojarzył się Arentowi z jastrzębiem, który przysiadł na końskim grzbiecie.

Próbowało za nim nadążyć czterech zasapanych niewolników niosących pozłacany palankin jego żony i córki. Tuż obok biegła, wachlując się w upale, poczerwieniała służąca gubernatorowej.

Dalej czterech krzywonogich muszkietierów dźwigało skrzynię zawierającą Kaprys. Pot spływał im po czołach i skapywał na dłonie, utrudniając chwyt. Często się potykali i wtedy na ich obliczach malował się strach, wiedzieli bowiem, jaka spotka ich kara, jeśli uszkodzą zdobycz gubernatora.

Podążał za nimi bezładny tłum dworzan i pochlebców, wysokich urzędników i faworytów rodziny, którzy w ramach nagrody za lata intryg zyskali krępującą sposobność odprowadzenia gubernatora na pokład statku opuszczającego Bawię.

Rozkojarzony obserwacją orszaku, Arent na chwilę odsonił przyjaciela, co tłum natychmiast wykorzystał. Ktoś cisnął kamieniem i trafił Sammy'ego w twarz. Z rozcięcia na policzku popłynęła krew, rzecz jasna ku ucieście ciżby.

Straciwszy nad sobą panowanie, Arent schylił się, podniósł kamień i rzucił nim w człowieka, który wymierzył cios, po czym chwycił mężczyznę za bark i popchnął na ziemię. Oburzony motłoch zawył i naparł na strażników eskortujących więźnia.

– Niezły rzut – mruknął z uznaniem Sammy, chowając głowę przed deszczem kamieni.

Arent dotarł do portu, kulejąc, obolały na całym swym potężnym ciele. Sammy, mimo że praktycznie wyszedł bez szwanku, jeśli nie liczyć paru siniaków, wydał na widok otwierającej się bramy głośne westchnienie ulgi.

Witani gdakaniem kur w wiklinowych koszach oraz pełnymi smutku spojrzzeniami świń i krów, wkroczyli do labiryntu skrzyń, zwojów grubych lin i beczek poustawianych w wysokie stopy. Hałaśliwi dokerzy ładowali towary na kołyszące się przy nabrzeżu łodzie, przewożące je na pokłady siedmiu indiamanów zakotwiczonych na połyskujących wodach portu. Ze zwiniętymi żaglami i nagimi masztami wyglądały jak martwe chrząszcze ze sterczącymi odnóżami, lecz wkrótce każdy z nich miał ożyć, zapełniając się trzema setkami pasażerów i członków załogi.

Ludzie potrząsali sakiewkami na kursujących tam i z powrotem przewoźników i przeciskali się do przodu, gdy wywołano nazwę ich statku. Dzieci bawiły się w chowanego wśród skrzyń albo trzymały maminych spódnic, podczas gdy ojcowie rzucali gniewne spojrzenia błękitnemu przestworowi, usiłując przegnać nimi dryfujące po niebie pojedyncze chmury.

Zamożniejsi pasażerowie trzymali się nieco z boku, stojąc pod parasolami w otoczeniu służby i drogich kufrów. Utyskiwali na upał, wachlowali się i pocili obficie w koronkach i krezach.

Gdy orszak się zatrzymał, brama zaczęła się zamykać. Hałaśliwe odgłosy tłumu nieco przycichły.

Od skrzyń odbiło się jeszcze kilka rzuconych w ostatniej chwili kamieni i atak dobiegł końca.

Arent odetchnął z ulgą i zgiął się w pół, opierając dłonie na

kolanach. Krople potu skapywały z jego czoła na zapiaszczoną ziemię.

– Bardzo cię poturbowali? – spytał Sammy, patrząc na siniaki przyjaciela.

– Mam potężnego kaca – stęknął Arent. – Poza tym właściwie nic mi nie jest.

– Czy straż przejęła mój ekwipunek alchemiczny? – W głosie Sammy'ego pobrzmiwała autentyczna obawa. Jako człowiek licznych talentów, był zdolnym alchemikiem; jego wyposażenie obejmowało tynktury, proszki i mikstury, które wymyślał dla ułatwienia procesu dedukcyjnego. Stworzenie niektórych spośród tych specyfików zabrało wiele lat i wymagało wykorzystania trudno dostępnych składników.

– Nie, zabrałem go z twojego alkierza, zanim przeszukali dom – odparł Arent.

– To dobrze – ucieszył się Sammy. – W zielonym słoiczku znajdziesz balsam. Wcieraj go w rany codziennie rano i wieczorem.

– Masz na myśli tę cuchnącą szczynami breję? – spytał Arent, krzywiąc się z niesmakiem.

– Nie inaczej. Dobry balsam musi cuchnąć szczynami.

Od strony kei zbliżał się muszkietier, wołając Sammy'ego. Miał wysłużony kapelusz z czerwonym piórem i opadającym na oczy miękkim rondem. Na ramiona muszkietera spływała płatanina ciemnoblonde włosów, a policzki porastała gęsta broda.

Arent spojrział na niego z aprobatą.

Większość batawskich muszkietierów należała do gubernatorskiej straży przybocznej. Prężyli się, salutowali i celowali w spaniu z otwartymi oczami. Tymczasem złachany mundur tego żołnierza dowodził, że jego właściciel doświadczył prawdziwej wojaczki. Na podziurawionym od kul i rapierów, wielokrotnie łatanym niebieskim kaftanie widniały stare plamy po krwi. Z sięgających do kolan czerwonych pludrów wystawały opalone owłosione nogi, pełne blizn i śladów po ukąszeniach komarów. Przytroczone do pasa miedziane flaszki z prochem strzelniczym obijały się o woreczki z saletrowymi zapałkami.

Stanąwszy przed Arentem, muszkieter energicznie podniósł i opuścił jedną nogę.

– Poruczniku Hayes, jestem Jacobi Drecht – oznajmił, przeganiając sprzed nosa muchę. – Dowodzę gubernatorską strażą przyboczną. Popłynę z wami, aby zapewnić bezpieczeństwo rodzinie gubernatora generalnego. – Następnie zwrócił się do muszkieterów eskortujących Arenta i Sammy’ego: – Do łodzi, chłopcy. Gubernator chce, aby pan Pippas znalazł się na pokładzie *Saardama*, zanim...

– Wysłuchajcie mnie! – dobiegł z góry czyjś chrapliwy głos.

Mrużąc oczy i wyciągając szyję, cała trójka spojrzała pod słońce.

Na sterwie skrzyń stała postać w szarych łachmanach. Jej dłonie i twarz, jeśli nie liczyć wąskiej szczeliny na oczy, spowijały przesiąkniętą krwią bandażę.

– Trędowaty – mruknął ze wstrętem Drecht.

Arent odruchowo zrobił krok do tyłu. Od małego wpajano mu lęk przed tymi straconymi ludźmi, których sama obecność potrafiła sprowadzić nieszczęście na wioskę. Jedno kaszlnięcie, a nawet najlżejszy dotyk oznaczały długą i bolesną śmierć.

– Zabijcie go i spalcie – zarządził gubernator z czoła orszaku. – Nie ma przyzwolenia na obecność trędowatych w mieście.

Skonsternowani muszkieterzy spojrzeli po sobie. Człowiek w łachmanach znajdował się zbyt wysoko, by dało się go dosięgnąć pikami, muszkiety załadowano już na *Saardama*, a nikt nie miał łuku.

Nie zważając na poruszenie, które wywołał, trędowaty przesywał wzrokiem stojących przed nim ludzi.

– Wiedźcie, że na pokładzie *Saardama* podróżuje mój mistrz. – Błądzące spojrzenie zahaczyło o Arenta, budząc trwogę w sercu najemnika. – Władca wszystkiego, co ukryte. Suzeren tego, co mroczne i rozpaczliwe. Wysłuchajcie ostrzeżenia wydanego na mocy pradawnych praw. Ładunek tego statku jest splamiony grzechem, toteż każdego, kto wejdzie na jego pokład, czeka niechybna zguba. *Saardam* nie dotrze do Amsterdamu.

Gdy trędowaty wypowiedział ostatnie słowo, brzeg jego

złachmanionej szaty nagle stanął w płomieniach.

Ludzie jęknęli, a potem zaczęli krzyczeć z przerażenia. Dzieci wybuchnęły płaczem.

Z ust trędowatego nie dobył się ani jeden dźwięk. Ogień wspiął się po jego ciele i po chwili nieszczęśnik cały stanął w płomieniach.

Nawet się nie poruszył.

Płonął w milczeniu, ze wzrokiem utkwionym w Arencie.

2

Nagle zaczął młócić dłońmi, strzepując ogień z łachmanów, jakby dopiero teraz dotarło do niego, co się dzieje.

Zatoczył się, spadł ze skrzyń i uderzył o ziemię z odgłosem, od którego robiło się niedobrze.

Arent pochwyił baryłkę, kilkoma długimi krokami pokonał odległość dzielącą go od trędowatego, gołymi rękami zerwał wieko z beczułki i chlusnął piwem.

Łachmany zaskwierczały i nozdrza Arenta wypełniła woń spalenizny.

Skręcając się z bólu, trędowaty rozorywał palcami ziemię. Miał okropnie poparzone przedramiona i niemal zwęgloną twarz. Jedyną wciąż ludzką jej częścią były oszalałe od cierpienia oczy z rozszerzającymi się i kurczącymi na błękitnym tle źrenicami.

Rozchylił usta jak do krzyku, lecz z gardła nie wydobył się żaden dźwięk.

– To niemożliwe – mruknął Arent.

Łypnął na Sammy'ego, który napierał na łańcuchy i wyciągał szyję, żeby lepiej widzieć.

– Odcięto mu język! – zawołał Arent, usiłując przekrzyczeć zgiełk.

– Usuńcie się, jestem uzdrowicielką – odezwał się czyjś władczy głos.

Obok Arenta przepychała się dama, wciskając mu do ręki

koronkowy czepek, który chwilę wcześniej zdjęła z głowy. Pośród jej ciasno spiętych rudych loków lśniły wysadzone klejnotami szpilki.

Kiedy tylko czepek wylądował w dłoni Arenta, natychmiast został z niej wyrwany przez rozgorączkowaną służącą, która starając się trzymać parasol nad głową swojej pani, usiłowała nakłonić ją do powrotu do palankinu.

Arent zerknął w tamtą stronę.

Wysiadając w pośpiechu, można pani musiała zerwać zasłonkę z haczyka i zrzucić na ziemię dwie duże jedwabne poduchy. Scenie przypatrywała się umoszczona w palankinie młoda dziewczyna o owalnej twarzy, czarnych włosach i ciemnych oczach – skóra zdjęta z gubernatora generalnego, który siedząc sztywno w siodle, z dezaprobatą obserwował poczynania żony.

– Mamo? – odezwała się dziewczyna.

– Chwileczkę, Lio – odparła gubernatorowa. Przyklekła przy trędotawym, nie bacząc na to, że rąbek jej brązowej sukni opada na rybie wnętrzności. – Spróbuję pomóc – odezwała się łagodnym głosem. – Dorotheo? – zwróciła się do służącej.

– Tak, pani?

– Podaj moją fiolkę.

Służąca sięgnęła do rękawa, wyciągnęła niewielkie naczynko, odkorkowała je i wręczyła swojej pani.

– To złagodzi ból – powiedziała żona gubernatora do cierpiącego i przechyliła fiolkę tuż nad jego rozchylonymi ustami.

– On jest chory na trąd – ostrzegł ją Arent, gdy jej bufiaste rękawy niemal otarły się o łańchmany nieszczęśnika.

– Wiem o tym. – Nie odrywała oczu od grubej kropli, która zawisła na brzeżku naczynia. – Porucznik Hayes, prawda?

– Po prostu Arent.

– Arent. Dobrze. – Obróciła jego imię w ustach, jakby miało osobliwy smak. – Nazywam się Sara Wessel. – Zawiesiła głos. – Po prostu Sara – dodała, naśladowując jego szorstką odpowiedź.

Delikatnie potrząsnęła fiolką i kropla płynu wreszcie spadła,

trafiając do ust trędowatego. Mężczyzna z trudem ją przełknął, zadrżał na całym ciele i po chwili spazmy ustały, a jego spojrzenie stało się mętne.

– Jesteś, pani, żoną gubernatora generalnego? – spytał Arent z niedowierzaniem. Większość szlachetnie urodzonych kobiet nie wysiadłaby z palankinu, nawet gdyby ten zajął się ogniem; nie przyszłoby im do głowy rzucić się na pomoc obcemu człowiekowi.

– A pan... sługą Samuela Pippsa, prawda? – rzuciła z irytacją.

– E... – Zaskoczyło go jej rozdrażnienie. Czym zdołał ją urazić? Na wszelki wypadek zmienił temat. – Co było w tej fiolce?

– Coś na uśmierzenie bólu – odparła, zabezpieczając zawartość naczynka korkową zatyczką. – Specyfik przyrządzony z miejscowych roślin. Od czasu do czasu sama go stosuję. Pomaga na sen.

– Możemy coś dla niego zrobić, pani? – spytała służąca, odbierając fiolkę i umieszczając ją w swoim rękawie. – Mam pójść po kuferek z medykamentami?

Jedynie głupiec próbowałby coś robić, pomyślał Arent. Z życia na wojnie wyniósł naukę o tym, bez której części ciała może się obejść człowiek i jaka rana będzie go budzić po nocach potwornym bólem, aż w końcu po roku ukradkiem przyniesie śmierć. Gnijące ciało trędowatego było źródłem strasznego cierpienia, a rany od ognia przysporzą go jeszcze więcej. Przy dobrej opiece ten mężczyzna przeżyje dzień, może nawet tydzień, ale ten czas nie zawsze jest wart ceny, jaką trzeba zapłacić.

– Nie – odpowiedziała Sara. – Dziękuję, Dorotheo, ale to chyba nie będzie konieczne.

Podniosła się z ziemi i dała Arentowi znak, by odszedł z nią na bok.

– Nic więcej dla niego nie zrobimy – przyznała cicho. – Możemy się jedynie nad nim ulitować. Czy byłby pan... – Przełknęła ślinę, wyraźnie zawstydzona tym, o co chciała poprosić. – Czy kiedykolwiek odebrałeś komuś życie, panie?

Arent skinął głową.

– Umiesz to zrobić bezboleśnie?

Ponownie skinął głową. Sara uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Żałuję, że brak mi hartu ducha, by zając się tym własnoręcznie – rzekła.

Przecisnął się przez krąg rozszepowanych gapiów, podszedł do jednego z muszkietierów pilnujących Sammy'ego i wyciągnął rękę po rapier. Skamieniały z przerażenia młody żołnierz bez protestów wysunął broń z pochwy i oddał Arentowi.

Sammy PIPPS przywołał przyjaciela.

– Mówisz, że trędowaty nie ma języka?

– Odcięto mu go – potwierdził Arent. – Chyba już jakiś czas temu.

– Przyrowadź do mnie Sarę Wessel, kiedy skończycie – poprosił Sammy. – Ta sprawa wymaga naszej uwagi.

Gdy Arent wrócił z rapierem, Sara przyklękła nad nieszczęśnikiem i wyciągnęła rękę, by ująć jego dłoń, ale w porę się zreflektowała.

– Nie potrafię cię uleczyć – powiedziała łagodnym tonem. – Lecz mogę ci ofiarować bezbolesne uwolnienie od cierpienia. Zgodzisz się?

Trędowaty poruszył ustami, z których dobył się tylko jęk. Ze łzami w oczach skinął głową.

– Zostanę przy tobie. – Spojrzała przez ramię na córkę przypatrującą się im ze swego miejsca w palankinie i wyciągnęła rękę. – Lio, chodź tu, proszę.

Dziewczyna wysiadła. Miała nie więcej niż dwanaście, trzynaście lat i patykowate kończyny. Niezgrabnie wisząca na jej chudych ramionach suknia wyglądała jak skóra, z której Lia nie zdołała się wygramolić.

Powitał ją szelest odzieży, gdy cały orszak – w tym Arent – odwrócił się, by zmierzyć gubernatorównę wzrokiem. W przeciwieństwie do matki, która każdego wieczoru udawała się do kościoła, Lia rzadko pokazywała się publicznie. Mówiono, że ojciec trzyma ją w ukryciu ze wstydu, ale kiedy tak szła z wahaniem w stronę trędowatego, Arent

nie potrafił się dopatrzeć niczego, co mogło być powodem do wstydu. Była śliczną dziewczyną, nawet jeśli niezwykle bladą, jakby utkaną z cienia i księżycowej poświaty.

Sara posłała nerwowe spojrzenie mężowi, który siedział sztywno na koniu i zgrzytał zębami, nieznacznie poruszając zuchwą. Arent domyślał się, że gubernator gotuje się ze złości. Skurcze mięśni jego twarzy były wyraźnym sygnałem, że najchętniej nakazałby żonie i córce powrót do palankinu, lecz przekleństwo władzy zabraniało mu przyznać się do utraty kontroli.

Kiedy Lia podeszła do matki, Sara krzepiąco ścisnęła jej dłoń.

– Ten człowiek czuje straszny ból – powiedziała cicho. – Porucznik Hayes uwolni go od cierpienia. Rozumiesz?

Dziewczyna otworzyła szeroko oczy i potulnie skinęła głową.

– Tak, mamo.

– To dobrze. On się bardzo boi. W takiej sytuacji nie powinien być sam. Będziemy czuwały przy nim, wesprzemy go naszą odwagą. Nie wolno ci odwracać wzroku.

Trędowaty z trudem uniósł dłoń, wziął osmalony i postrzępiony na brzegach niewielki kawałek drewna, który leżał na jego szyi, i mocno zaciskając powieki, przyłożył go do piersi.

– Jeśli jesteś gotowy... – zwróciła się Sara do Arenta.

Ten bezzwłocznie przeszył rapierem serce niešťczęśnika. Trędowaty wygiął plecy w łuk i zesztyniał, po czym opadł bezwładnie. Po chwili spod jego ciała zaczęła wypływać krew. W lśniącej w słońcu szkarłatnej kałuży odbijały się trzy stojące nad trupem postacie.

Dziewczyna złapała matkę za rękę, ale nie uciekła.

– Jesteś dzielna, skarbie – pochwaliła córkę Sara, głaszcząc ją po gładkim policzku. – Wiem, że to było nieprzyjemne, ale wykazałaś się odwagą.

Kiedy Arent wycierał ostrze rapiera o worek z owsem, wyciągnęła z włosów jedną z wysadzanych klejnotami szpilek, uwalniając rudy lok.

– Za pańską fatywę – powiedziała, wręczając mu cenny przedmiot.

– Akt dobroci przestaje nim być, gdy trzeba za niego zapłacić – odparł i nie przyjąwszy połyskującej szpilki od żony gubernatora, zwrócił rapier żołnierzowi.

Sara popatrzyła na niego z konsternacją pomieszaną z zaskoczeniem i po chwili, jakby poczuła się przyłapaną na gorącym uczynku, odwróciła wzrok i przywołała dwóch dokerów siedzących na stercie porwanego płótna żaglowego.

Skoczyli na równe nogi jak użądleni i podeszli, przylizując włosy.

– Sprzedajcie ten przedmiot, spalcie ciało tego nieszczęśnika i zadbajcie o chrześcijański pochówek prochów – poleciła, kładąc szpilkę na zrogowaciałej dłoni jednego z nich. – Niech po śmierci zazna spokoju, którego nie doświadczył za życia.

Spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

– Klejnot jest wart tyle, że wystarczy na pogrzeb i spełnienie waszych zachcianek. Ale wiedźcie, że każę mieć was na oku – ostrzegła złudnie uprzejmym tonem. – Jeżeli szczątki tego biedaka trafią do dołu dla niedotykalnych za murami miasta, zawieście na stryczku. Czy to jasne?

– Tak, pani – wybąkali, z szacunkiem uchylając kapeluszy.

– Zechcesz, pani, poświęcić chwilę Sammy'emu Pippowski?

– spytał Arent, który stał teraz obok komendanta straży Jacobiego Drechta.

Sara zerknęła na męża, najwyraźniej starając się oszacować jego niezadowolenie. Arent doskonale ją rozumiał. Jan Haan potrafił się wściec o źle zastawiony stół; nic dziwnego, że widok żony pełzającej na kolanach w brudzie, niczym nierządnicą za toczącą się monetą, mógł wprowadzić go z równowagi.

Gubernator nawet nie patrzył na żonę. Za to przyglądał się Arentowi.

– Lio, wróć, proszę, do palankinu – odezwała się Sara.

– Ale, mamó – jęknęła dziewczyna, ścisząc głos. – To Samuel Pippss.

– Tak.

– Ten Samuel Pippis!
– To prawda.
– Wróbel!
– Zapewne ubóstwa swoje przezwisko – zauważyła sucho gubernatorowa.

– Mogłabyś mnie przedstawić.
– Widzisz przecież, że nie jest odpowiednio ubrany.
– Mamo...
– Trędownaty dostarczył ci wystarczająco dużo emocji na jeden dzień – orzekła Sara, ruchem głowy wzywając Dorotheę.

Lia otworzyła usta, by zaprotestować, ale służąca tylko pogłaskała ją po ramieniu i delikatnie pociągnęła za sobą.

Sara tymczasem ruszyła przez rozstępujący się tłum w stronę więźnia, który zaczął pospiesznie poprawiać poplamiony kaftan.

– Krążą o panu legendy, panie Pippis – powiedziała, dygając.

Po niedawnym upokorzeniu ten nieoczekiwany komplement zbił Sammy'ego z tropu, tak że jego powitalny gest wyszedł niezgrabnie i z powodu ograniczających ruchy łańcuchów wyglądał raczej jak parodia ukłonu.

– O czym chciałeś ze mną mówić, panie? – spytała Sara.

– Błagam cię, pani, opóźnij wyjście *Saardama* w morze – powiedział. – Musisz posłuchać ostrzeżenia trędownatego.

– Wzięłam go za szaleńca – przyznała zaskoczona.

– Och, był nim, bez wątpienia – zgodził się Sammy. – Ale przemawiał, nie mając języka, i wspiął się na skrzynie, będąc chromym.

– Zauważyłam brak języka, lecz chromość nie rzuciła mi się w oczy. – Zerknęła na trupa. – Czy aby na pewno?

– Nawet mimo oparzeń wyraźnie widać uposłedzenie. Domyślam się, że musiał poruszać się o kulach, co oznacza, że aby wspiąć się na skrzynie, potrzebował czyjejs pomocy.

– Sądziś, panie, że miał współnika?

– Owszem. I to tym bardziej mnie niepokoi.

– Oczywiście. – Westchnęła. – Bo niepokój, tak jak nieszczęście,

nie znosi samotności.

Sammy puścił jej komentarz mimo uszu.

– Spójrz, pani, na jego dłonie. Jedna jest bardzo poparzona, ale druga niemal nietknięta. Jeśli się przyjrzyysz, zauważysz siniak pod paznokciem na kciuku i zobaczysz, że palec był złamany co najmniej trzykrotnie, przez co się zakrzywił. Przypadłość ta jest typowa dla cieśli, zwłaszcza okrętowych, którym kołysanie na falach istotnie utrudnia pracę. Mojej uwagi nie uszły również krzywe nogi, kolejna cecha charakterystyczna żeglarzy.

– Myślisz, że pływał jako cieśla na pokładzie jednostki należącej do floty? – wtrącił Arent, patrząc na siedem statków zakotwiczonych w porcie.

– Nie wiem – odparł Sammy. – Prawdopodobnie każdy cieśla w Batawii na pewnym etapie swojego życia pracował na którymś z indiamanów. Gdyby pozwolono mi obejrzeć ciało z bliska, mógłbym udzielić bardziej jednoznacznych odpowiedzi, ale...

– Nie ma mowy, żeby mój mąż pana uwolnił, panie Pipp – ucieła Sara. – Jeżeli właśnie o to panu chodziło.

– Nie. – Sammy zaczerwienił się. – Wiem doskonale, co gubernator o mnie myśli, i zdaję sobie sprawę, że nie weźmie pod uwagę moich obaw. Ale ciebie, pani, z pewnością wysłucha.

Sara w zakłopotaniu przeniosła spojrzenie na dowodzące w porcie delfiny. Wyskakiwały z wody, robiły obrót i znikaly pod powierzchnią, prawie jej nie marszcząc.

– Błagam cię, pani. Musisz przekonać męża, aby opóźnił wypłynięcie floty, dopóki Arent nie zbada sprawy.

Arent drgnął zaskoczony. Ostatni raz prowadził dochodzenie przed trzema laty. Później starał się trzymać od takich spraw z daleka. Jego zadaniem było dbanie o bezpieczeństwo Sammy'ego i unieszkodliwianie każdego, kogo wskaże przyjaciel.

– Pytania są jak miecze, a odpowiedzi jak tarcze – upierał się Sammy, nie odrywając wzroku od Sary. – Błagam cię, pani, uzbrój się. Bo kiedy *Saardam* wypłynie z portu, będzie już za późno.

3

Sara Wessel ruszyła wzdłuż orszaku pod palącym słońcem Batawii, czując na sobie świdrujące spojrzenia dworzan, żołnierzy i pochlebców. Szła jak skazaniec: ze spiętymi ramionami, rękami wzdłuż boków, zaciśniętymi pięściami i wzrokiem wbitym w ziemię. Wstyd rozpałał jej policzki do czerwoności, którą większość gapiów błędnie brała za wypieki od gorąca.

Sama nie wiedziała, dlaczego nagle zerknęła przez ramię. Bez trudu wypatrzyła Arenta, wyższego o półtorej głowy od stojących wokół niego ludzi. Sammy polecił mu przyjrzeć się z bliska zwłokom i Arent właśnie grzebał w łachmanach trędowatego długim kijem używanym do transportowania koszy.

Poczuł na sobie spojrzenie Sary, podniósł wzrok i popatrzył jej w oczy. Speszona, błyskawicznie odwróciła głowę.

Kiedy podeszła do męża, jego koń – przeklęta bestia, której nigdy nie zdołała obłaskawić – parsknął i wierzgnął ze złością. W przeciwieństwie do Sary, rumak lubił być dosiadany przez gubernatora.

Ta myśl sprawiła, że na jej twarzy zagościł złośliwy uśmiezek; nie udało jej się go pozbyć z twarzy nawet wtedy, gdy już zatrzymała się przy mężu, który zwrócony do niej plecami i z pochyloną głową rozmawiał ściszym głosem z Corneliusem Vosem.

Vos był jego szambelanem, najważniejszym spośród gubernatorowych doradców i jednym z najbardziej wpływowych ludzi

w mieście. Na pierwszy rzut oka nic o tym nie świadczyło, nosił się bowiem ze swą władzą bez werwy i charyzmy. Nie był ani wysoki, ani niski; ani dobrze zbudowany, ani szczupły. Miał szare jak błoto włosy i ogorzałą twarz pozbawioną jakichkolwiek znaków szczególnych, jeśli nie liczyć błyszczących zielonych oczu, których spojrzenie zawsze wędrowało ponad ramieniem rozmówcy.

Nosił sfatygowane, ale nie złachmanione ubranie. Otaczała go tak silna aura beznadziei i rozpacz, że chyba nikogo by nie zdziwiło, gdyby tam, gdzie stąpał, więdły kwiaty.

– Co z moim osobistym frachtem? Jest już na pokładzie? – spytał gubernator, ignorując żonę.

– Główny kupiec osobiście nadzorował załadunek, panie.

Nie przerwali rozmowy i nic w ich zachowaniu nie wskazywało na to, że w ogóle zauważyli Sarę. Jan nie cierpiał, kiedy mu przerywano, a Vos służył gubernatorowi wystarczająco długo, by o tym wiedzieć.

– Rozumiem, że zadbano o dyskrecję?

– Komendant straży Drecht osobiście czuwał nad załadunkiem.

– Niespokojne palce szambelana zdradzały jakąś wewnętrzną kalkulację. – Porozmawiajmy o drugim ważnym ładunku, panie. Zechcesz zdradzić, gdzie życzysz sobie, abyśmy umieścili Kaprys na czas podróży?

– Myślę, że moja kajuta będzie do tego odpowiednia.

– Obawiam się, panie, że Kaprys ma na to zbyt duże rozmiary – powiedział Vos, poruszając palcami złożonych dłoni. – Może lepiej w luku towarowym?

– Mam pozwolić, by upchano przyszłość Kompanii w ładowni jak niechciany mebel?

– Niewielu ludzi wie, czym właściwie jest Kaprys – przypomniał szambelan. Na chwilę jego uwagę odwrócił plusk wiosł zblizającej się łodzi. – Jeszcze mniej osób zdaje sobie sprawę, że będzie na *Saardamie*. Być może najlepszym sposobem na ukrycie Kaprysu okaże się właśnie potraktowanie go jak niechciany mebel.

– Pomysłowe. Ale luk jest za bardzo odsłonięty.

Zamilkli, głowiąc się nad rozwiązaniem.

Promienie słońca grzały kark Sary. Na jej czoło występowały grube krople potu i spływały po twarzy, zbierając drobinki białego pudru, którym Dorothea obficie posypała oblicze swej pani, aby ukryć pęgi. Sara miała ochotę poluzować suknię, zdjąć opinającą szyję krezę i odkleić wilgotny materiał od ciała, ale jej mąż nie znośli, kiedy ktoś się wiercił, równie mocno jak nienawidził, gdy mu przeszkadzano.

– Wobec tego może w prochowni? – zaproponował Vos. – Jest zamknięta i strzeżona. Nikomu nie przyjdzie do głowy szukać w niej czegoś tak cennego jak Kaprys.

– Doskonale. Zajmij się tym.

Kiedy szambelan odszedł w stronę orszaku, gubernator wreszcie odwrócił się do żony.

Był od niej dwadzieścia lat starszy. Jego głowa miała kształt łyzy i z wyjątkiem łączącej parę wielkich uszu ciemnej tonsury była zupełnie łysa. Większość mieszkańców Batawii nosiła kapelusze, które chroniły przed ostrym słońcem, ale Jan Haan uważał, że w takim nakryciu wygląda głupio. W rezultacie skóra na jego czaszce świeciła wściekłą czerwienią i jej złuszczone cząstki zbierały się w fałdach krezy.

Zmierzył Sarę ciemnymi oczami, które kryły się pod prostymi brwiami. Podrapał się po długim nosie. Był brzydkim mężczyzną, jakkolwiek patrzeć, lecz w przeciwieństwie do szambelana otaczał go nimb władzy. Każde słowo padające z jego ust brzmiało tak, jakby miało trafić na karty historii; każde spojrzenie zawierało subtelną naganę, zachętę dla innych, by stanęli obok niego i przekonali się, jak bardzo są niedoskonalimi. Był człowiekiem, który uważał się za żywy wzór kindersztuby, dyscypliny i moralności.

– Żono – odezwał się tonem udającym życzliwy.

Podniósł dłoń, by dotknąć jej twarzy, na co zareagowała wzdrygnięciem. Położył kciuk na jej policzku i usunął płat zlepionego pudru.

– Upał wyraźnie ci nie służy.

Przełknęła zniewagę i spuściła wzrok.

Byli małżeństwem od piętnastu lat, lecz Sara mogła policzyć na palcach jednej ręki sytuacje, w których zdołała wytrzymać jego spojrzenie.

To przez te czarne jak inkaust oczy. Ich córka miała identyczne, tyle że podczas gdy oczy Lii skrzyły się życiem, źrenice jej ojca przypominały dwie puste ciemne dziury, przez które dawno uleciała jego dusza.

Sara poczuła to już przy pierwszym spotkaniu, gdy razem z czterema siostrami została nagle, z dnia na dzień, przewieziona do jego salonu w Rotterdamie, dostarczona jak mięso zamówione na targu. Porozmawiał z każdą z nich osobno i bez wahania wybrał Sarę. Wygłosił przed jej ojcem starannie przygotowane oświadczenia, w których wymienił korzyści płynące z połączenia ich rodów. W skrócie: miała zostać zamknięta w pięknej klatce i dysponować mnóstwem czasu na przeglądanie się w lśniących przetchach.

Przeplakała całą drogę powrotną do domu, błagając ojca, by jej nie odsyłał, ale nic nie wskórała. Wiano było zbyt nęcące. Wcześniej nawet nie zdawała sobie sprawy, że jest hodowana na sprzedaż jak cielę, tuczona manierami i wykształceniem.

Poczuła się zdradzona, ale tylko dlatego, że była wtedy młoda. Teraz znacznie lepiej rozumiała świat i wiedziała, że mięso nie ma nic do powiedzenia w kwestii tego, na czym haku zawisnie.

– Twój popis był niestosowny – zbeształ ją półgębkiem mąż, nie przestając uśmiechać się do dworzan, którzy podeszli bliżej, aby niczego nie przegapić.

– To nie był popis – bąknęła wyzywająco. – Nieszczęśnik cierpiał.

– Umierał. Sądziłaś, że wydobrzeje, gdy napoisz go miksturą? – Obniżył głos tak bardzo, że jego słowa miażdżyły biegające po ziemi mrówki. – Jesteś impulsywna, lekkomyślna i głupia, do tego masz zbyt miękkie serce. – Obrzucał ją obelgami, tak jak wcześniej tłum ciskał kamieniami w Samuela Pippsa. – Przymykałem oko na twoje słabości, kiedy byłaś dziewczęciem, ale przecież młodość dawno masz za sobą.

Reszty już nie słuchała; nie musiała. Same znajome reprimendy,

pierwsze krople deszczu przed gwałtowną burzą. Wiedziała, że cokolwiek powie, niczego to nie zmieni. Kara nastąpi później, gdy zostaną sami.

– Samuel Pippa uważa, że naszemu statkowi zagraża niebezpieczeństwo – wypaliła.

Gubernator, nieprzyzwyczajony do tego, że mu się przerywa, ściągnął brwi.

– Pippa jest spętany – zauważył.

– Tylko jego ręce są skute łańcuchami – sprostowała. – Oczy i umysł pozostają wolne. Twierdzi, że trędowaty był cieślą i być może pracował na statku należącym do floty mającej zabrać nas do Amsterdamu.

– Trędowatym nie wolno służyć na indiamanach.

– A jeśli choroba ujawniła się dopiero po tym, jak przybył do Batawii?

– Zgodnie z moim zarządzeniem każdy trędowaty ma zostać stracony, a jego ciało spopielone. W Batawii nie ma dla nich miejsca. – Pokręcił z rozdrażnieniem głową. – Dałaś się zmamić paplaninie szaleńca i przestępcy. Nie ma żadnego zagrożenia. *Saardam* to świetny statek, którym dowodzi doskonały kapitan. Najsolidniejsza jednostka w całej flocie. Dlatego ją wybrałem.

– Pippowski nie chodzi o obluzowaną deskę – odparowała, szybko ścisząc głos. – Obawia się sabotażu. Ci, którzy wejdą dziś na pokład *Saardama*, w tym nasza córka, będą narażeni na śmiertelne niebezpieczeństwo. Naprawdę chcesz na to pozwolić po tym, jak straciliśmy synów... – Nabrała powietrza, by zapanować nad wzburzeniem. – Czy nie byłoby rozsądne porozmawiać z kapitanami floty, zanim wypłyniemy? Trędowaty miał odcięty język i kulą. Jeśli służył na którymś z tych okrętów, ktoś z pewnością musiał go zapamiętać.

– Czego ode mnie oczekujesz? – spytał, wskazując brodą setki tłoczących się na nabrzeżu spoconych dusz. Gapiom udało się bezszelestnie podejść na tyle blisko gubernatora i jego żony, żeby

słyszeć wymianę zdań. – Że na rozkaz przestępcy każę tym wszystkim ludziom wracać do twierdzy?

– Kiedy sprowadziłeś Pippsa z Amsterdamu, żeby odzyskał dla ciebie Kaprys, wtedy jakoś potrafiłeś mu zaufać.

Gubernator groźnie zmrużył oczy.

– Czy ze względu na Lię nie moglibyśmy chociaż przesiąść się na inny statek? – naciskała dalej Sara.

– Nie. Popłyniemy na pokładzie *Saardama*.

– W takim razie niech sama Lia...

– Nie.

– Dlaczego? – Była tak skonfundowana uporem męża, że lekkomyślnie drążyła temat, zupełnie nie zważając na jego gniew. – Na innym statku będzie nam tak samo wygodnie. Czemu tak ci zależy, żebyśmy...

Mąż uderzył ją wierzchem dłoni. Policzek boleśnie zapiekł. Stłumiony okrzyk zdumienia dworzan wymieszał się z pojedynczymi chichotami.

Gdyby wzrok mógł zatapiać statki, wszystkie okręty w porcie poszłyby na dno, lecz gubernator generalny przyjął spojrzenie żony ze spokojem. Wyjął z kieszeni jedwabną chusteczkę. Wściekłość, która w nim narastała, nagle jakby wyparowała.

– Przeprowadź naszą córkę, abyśmy mogli wejść na pokład całą rodziną – powiedział, wycierając puder z palca. – Nasz czas w Batawii dobiegł końca.

Sara zacisnęła zęby i odwróciła się plecami do orszaku.

Wszyscy jej się przyglądali, rechocząc i szepcząc między sobą. Wbiła spojrzenie w palankin.

Lia z nieprzeniknioną miną przypatrywała się matce zza zerwanej zasłonki.

Niech go diabli, pomyślała Sara. Niech go diabli.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).